

Rok IV.
Kraków, dnia 18 września 1910 r.
Nr. 38.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1. Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

Na Anioł Pański biją dzwony...

Do najpiękniejszych zwyczajów świata katolickiego należy bez wątpienia dzwonienie na »Anioł Pański«. Jakże potężne przejmuje każdego wrażenie, kiedy, idąc, słyszy odgłos dzwonu kościelnego. Mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy składają ręce do modlitwy. Święta cisza zalega ziemię, na którą zdaje się zstępować anioł, by raz jeszcze obwieszczać wielką, świętą tajemnicę wcielenia Syna Bożego. Na całej przestrzeni kuli ziemskiej, od bieguna do bieguna, gdzie tylko istnieje gromadka katolicka, głos tego dzwonka łączy wiernych w modlitwie. Gdy się o tem pomyśli, uprzytomnia nam się cała wielkość i potęga naszej świętej wiary katolickiej.

Zapewne niejeden ciekawy, skąd pochodzi ten piękny zwyczaj? Sięga on czasów, którym zawdzięczamy najwspanialsze pomniki i skarby wiary wieków średnich, owych czasów silnej wiary. Zanim jednak nastał ten zwyczaj pobożny, musiały istnieć dzwony. Ale skąd one pochodzą i kto jest ich wynalazcą?

Minęło już 1500 lat od chwili, kiedy pierwszy dzwon zabrzmiał na chwałę Bożą z wieży kościelnej. Pierwsi chrześcijanie nie znali dzwonów. Wiernych zwoływali na nabożeństwo biegający posłańcy, którzy niekiedy uderzali dwie deseczki gładkie jednę o drugą, albo też pukali do domów drewnianemi młotkami. Minęło 1500 lat, odkąd z katedry w Noli w Kampanii włoskiej zabrzmiał pierwszy dzwon, a uczonego i świątobliwego biskupa Paulina wymieniają jako jego wynalazcę.

Słońce zachodziło — tak opowiada święte podanie — kiedy pobożny ten kapłan szedł po murawie leśnej, zatopiony w myślach, a wokoło panowała tak błoga cisza, że Paulin mimowolnie ręce wznosząc w górę, zawołał: »Bądź uwielbiony i pochwalony, Panie wszech-światów, w Twem niebie ziemskiem! O udziel mi znaku, jako w tej chwili przebywasz tu przy mnie!«

Wtem wokoło odezwały się ciche dźwięki i pobożny kapłan zauważył, jak błękitne dzwonki leśne poruszały główki w wietrzyku wieczornym. Na pamiątkę tej błogiej chwili kazał bogobojny biskup z Noli ulać olbrzymi kwiat dzwonka ze śpiżu, aby zawsze wzywał wiernych do modlitwy i to był pierwszy dzwon, który zabrzmiał na chwałę Pana.

Około roku 550 posiadał już niejeden kościół we Francyi dzwon swój własny, ale zaprowadzenie dzwonów dla ogółu nastąpiło później dopiero. W Rzymie odezwał się pierwszy dzwon 590 roku za czasów papieża Sabiniana i on był pierwszym namiestnikiem Chrystusowym na ziemi, któremu w 610 r. dzwony zaśpiewały do wiecznego spoczynku swą przejmującą pieśń pogrzebową.

A skąd powstał piękny zwyczaj dzwonienia na »Anioł Pański?«

Było to za Urbana II, owego papieża, który za zadanie życia postawił sobie uwolnienie Ziemi św. z rąk niewiernych. Zwołał on sobór do Clermont i tam nakazał obwieścić pierwszą ogólną wyprawę krzyżową. Głos najwyższego pasterza rozszedł się po świecie i na jego słowa spieszyli wszyscy, by się zgromadzić pod chwały pełnym sztandarem krzyża.

Aby uprosić pomoc Bożą w większej jeszcze obfitości dla tego wielkiego dzieła i aby także wszyscy ci, którzy nie mogą stanąć do świętej walki, przynajmniej duchem w niej uczestniczyć mogli, nakazał papież Urban II., aby w dniu i w godzinie, kiedy pobożni wojownicy wychodzą do Ziemi św., uroczysty odgłos dzwonów w całym świecie katolickim gromadził wiernych do wspólnej modlitwy. A nietylko w owe dni — tak brzmiało rozporządzenie papieskie — lecz codziennie rano i wieczorem mają dzwony dawać hasło do modlitwy, by polecić Boskiej opiece codziennie nieobecnych braci. To była pierwsza przyczyna, której zawdzięczamy piękny i pobożny zwyczaj dzwonienia na Anioł Pański.

Krzyżacy na Litwie.

XL. BITWA POD WILNEM.

Polacy pod Wilnem. — Zawisza Czarny. — Bój. — Chwilowa przewaga Krzyżaków. — Podstęp Zawiszy. — Pogrom. — Rycerz z błękitną przepaską. — Porwanie Pojaty.

Lubo komtur odbierał ciągle jak najjawniejsze dowody przychylności Litwinów, lubo wszystko zdało mu się sprzyjać, nie przestawał jednak zatrudniać się obowiązkami wodza i bądź lękając się zemsty przeora, bądź pragnąc obecnością swoją przywieść do zgody umysły, więcej odtąd przebywał w obozie, niż w baszcie. Tam w miejscu najrozkoszniejszem, pod pysznym namiotem, przepędzał komtur noce wśród tłumu pochlebnych dowódców, lub złożony na miękkiem łożu, marzył o szczęściu, które tak blizkiem spełnienia rozumiał, gdy dnia jednego o świcie usłyszał na puszczy głos, rozchodzący się daleko, którego zrazu nie mógł rozpoznać. Zerwał się z łoża komtur i ubrawszy się naprędce, zgromadził koło siebie pierwszych z dowódców. Różne o tem zdania powstały; jedni utrzymywali, że to są trąby Litwinów, witających wiosnę, inni, że chrześcijańskie w Ponarach śpiewanie; głos tymczasem ciągle się zbliżał i tak rósł w ogrom, że choć z tysiącznych składał się części, zdał się być jednym potężnym głosem, całą puszczę napełniającym.

— Do koni! — zawołał przerażony komtur. — To jest pieśń Boga Rodzicy Polaków.

— Do koni! do oręża! — wołały rozłożone po obozie straże.

Natychmiast dźwięk trąb we wszystkich jego częściach daje znak niebezpieczeństwa. Budzi się przerażony żołnierz i opuszczając budy, krzaki i doliny, biegnie na miejsce ćwiczeń i w porządku stawa pod bronią. Już dzień, bielący się dobrze, dozwalał sposobności przekonania się o sile nieprzyjacielskiej. Wysłane na zwiady szpiegi, wkrótce wróciwszy, dały sprawę, że potężny zastęp piechoty, ciągnąc brzegiem puszczy od Wilii, prosto ku obozowi zdaje się zmierzać; lecz nie można było dowiedzieć się, jak wielka jest jego siła i z której strony zechce uskutecznić napad. Piechotne krzyżackie szeregi mało już zupełności nie dochodziły, lecz żołnierz jezdny, rozdzielony po większej części ze swoim koniem, zostawionym na łąkach, nie zaraz w huf się zgromadził. Tymczasem śpiew Polaków coraz głośniejszym się stając, zdał się oznaczać każdy ich krok zbliżenia.

Komtur, przewidując z bezpieczeństwa pochodu, że niezwłocznie do spotkania przyjdzie, wywiódł w pole swe siły, sprawił wojsko i największą pokładając nadzieję w ścisłości szyków i stanowiska wyborze, wszystkie swe natężenia do tego celu obrócił.

Atoli nie łatwo mu przychodziło stawić czoło nieprzyjacielowi, którego siły tak mało były mu znane. Miękkiem i bezczynnem życiem odwykły od pola, niewiele z pobudek chwały czuł w sobie chęci do sprawy; sama tylko potrzeba, a raczej nadzieja utrzymania się na drodze zamiarów swoich, mogła mu jakiejkolwiek dodawać odwagi. Widział też, że położenie miejsca nieskończenie jego wojsku sprzyja; na szerokiej zatem równinie rozciągnął linię, a z tyłu leżące góry, których tajniki w przykrym razie bezpieczny obiecywały odwód, umocnił działami. Tam w blizkości obóz jego miał swe położenie. Linia lewem skrzydłem prawie przytykała do boru, skąd nieprzyjaciel przychodził, przed sobą zaś otwarte miał łąki, których rozległość dostatecznego udzielała mu pola, gdyby wstępnym idąc bojem, był w potrzebie rozwinięcia działań. Tak sprawiwszy wojsko, czekał zbliżenia się nieprzyjaciela. Wkrótce czaty nadbiegłe dały o nim jakąkolwiek sprawę, donosząc, że jazda polska nagle opanowała wszystkie lasu przesmyki.

Niemiła komturowi była ta wiadomość i tem go bardziej strwożyła, że żołnierz jego konny niezmiernie leniwo ściągał się pod znaki. Właśnie wschodzące słońce pierwsze swe światła rzucało na ziemię, gdy wojska krzyżackie ujrzały brzegiem lasu ciągnące ku sobie nieprzyjacielskie zastępy, które wolnym postępując krokiem, świętą pieśnią weseliły swój pochód. Liczba ich nie zdała się przenosić siły komtura. Wiódł je znany z dzielności Zawisza Czarny, z mnóstwem chciwej walczenia młodzieży. Złoto i stal, uderzone rannym słońca promieniem, błyszcząc w rotach rozmaitej barwy, przykro raziły oko znagloneg do walczenia Krzyżaka; lecz ożywiała go wodza przytomność, który zapalony gniewem, przebiegając z orężem szeregi, wcześnie je obdarzał bogatym łupem po Lachu.

Wtem wrzask trąb polskich daje znak do boju. Zawisza w całej rozciągłości usiłuje uderzyć na zastęp, lecz ten mocno stojąc w ściśnionym szeregu, dzielnie jego natarczywość odpiera. Już z jednej i z drugiej strony ukazały się małe szczerby w rotach, wódz jednak polski nie przestaje starać się koniecznie środka linii przełamać, lecz gdy usiłowania jego, po kilkakrotnej próbie, daremnemi się okazały, zaniechawszy powszechnego następowania, zręcznym obrotem przenosi oręż na prawe skrzydło Krzyżaka i tak dzielnie naciera, że linia nieprzyjacielska dla wsparcia skrzydła, przymuszoną była szyk złamać. O to się też najbardziej starał Zawisza.

Mord staje się powszechnym i najzaciętszym. Mąż z mężem zwierał się, lecz krótkie i zręczne włócznie Polaków widoczną korzyść miały nad ciężkiemi bardyszami*) Krzyżaków. Szczęk broni, wołania dowódców i jęki rannych przykrą wrzawą napełniają powietrze. Komtur, jak lew rozjuszony, wszędzie w jednej chwili znajdując się, i słowy zagrzewa i przykładem wspiera. Dwakroć jego żołnierz, ustępując kroku, dozwala nacierania na siebie nieprzyjacielowi, który, jak fala rozhukanego morza, z całą siłą wpiera się w jego szeregi, dwakroć nową ożywiony siłą, przybiera pola, odpierając natarczywość Polaków, którzy, czyli ustępują, czyli nastawają, zawsze porządnym szykiem starają się roty jego rozbijać.

Atoli zastępy polskie, ciągle prawem skrzydłem zajęte, ujrzały się nagle w niebezpieczeństwie opasania przez nieprzyjaciela. Lewe skrzydło jego, chociaż dzielnie odpierane, coraz pomykając się dalej, było już blizkie wzięcia tyłu Polakom, gdy niespodzianie z różnych części lasu daje się widzieć wybiegająca jazda, która, w huf potężny skupiwszy się, niesie im pożądany posiłek. Był to zastęp skrzydlaty, dumny imieniem Jadwigi, doborem rycerstwa zaszczytny. Przypięte do ramion białe skrzydła, zdały się lotem go unosić, a świst wiatrów niosąc za sobą, nowym przestrachem raziły nieprzyjaciela. Biała chorągiew ze znakiem królowej, chwiejąc się w powietrzu, wszędzie powiewa, trąba wrzaskliwa w każdej stronie daje się słyszeć. Widok tych nowych wrogów o rozpacz przyprawia komtura. Gońca po gońcu posyła po jezdne posiłki, żeby miał czem zatrudnić skrzydlate zastępy, sam zaś, rzucając się w odmęt lewego skrzydła, wszystkich używa sposobów, aby wziąć tył nieprzyjacielowi, lecz huf Jadwigi z nieposkromionym zapędem, jak skała gruchocąca drobne chruściny, łamie szeregi, odcina lewe skrzy-

*) Bardysz, broń piechotnego żołnierza, opatrzona na końcu siekierą i spisą na kształt halabardy.

dło i wkrótce tył bierze. Działa krzyżackie w górach ukryte, ciągłym ogniem śmierć usiłują roznosić, lecz ich groty dla znacznej odległości miejsca i mało jeszcze w owej porze udoskonalonej sztuki broni ognistej, niewiele szkodzą. Koncerz*) jezdnego rycerza i włócznia piechoty wszędzie górę bierze.

Już dłużej szyku żołnierz krzyżacki dotrzymać nie może; ściśniony dwoma ogniami, więcej myśli o zachowaniu życia, niż o obronie. Zabłysnął mu jeszcze niejaki promień nadziei w spieszącej na pomoc jeździe, lecz trwoga już przodowała temu posiłkowi, a zwycięztwo tak było przechylone na stronę Polaków, że ta pomoc nie mogła się stać przydatną. Niemniej jednak rycerz krzyżacki wspierać usiłuje piechotne szeregi i zasłaniać je stara się przed natarczywością Polaków; rychło atoli srodze pogromiony, w niewoli lub śmierci znajduje koniec niewczesnej posługi. Wszędzie ziemia trupem krzyżackim zasłana, wszędzie głos knechtów: »Daruj zwycięzco!« — dają komturowi poznać, że przegrana jego jest zupełną.

Kiedy tak oręż polski, wszędzie nad głową Krzyżaka wzniesiony, dokonywał zwycięztwa, oddział skrzydlatych rycerzy, przedarłszy się do obozu, brał w nim zdobycz i łupy. Nie było już komu go bronić, straż miejscowa małoliczna, przerażona wieścią przegranej, prędko broń przed zwycięzcą złożyła, przeor zaś z tłumem starych zakonników wcześnie myśląc o schronieniu, w góry obrócił; wszystko więc, co składało zamożność obozu, zapasy wojenne, działa i szczególne własności osób, poszło w ręce Polaków.

W tak smutnem położeniu starał się komtur z pozostałą niedobitków resztą opanować góry i tam zmierzając, na odwrót kazał zatrąbić, ale oręż zwycięzki nie dozwolił mu uskutecznić odwrotu i wszędzie go ścigając, nie zostawił ani chwili myślenia o ocaleniu. Co większa, postrzegał, że nieprzyjaciel na to się usadza najbardziej, aby go mógł życia pozbawić lub więźniem uczynić. Zostawała mu jeszcze garstka mężnych, złożona z dowódców rot i zastępów zniszczonych, którzy dzielnie zasłaniając nieszczęśliwego wodza, życie własne na szwank podawali, ale to poświęcenie się, przy natarczywości zwycięzców, niewielką mu pomoc obiecywało. Wszędzie, gdzie rzucił okiem, widział tłumy skrzydlatych wrogów, którzy niebaczni na cięcia i groty jego obrońców, coraz się bliżej przysuwając, ogarnąć go usiłowali. Wstrzymywać ich i oddalić starał się poświęcony mu poczet, niemniej jednak komtur, czy wstecz się cofnął, czy na bok koniem zwrócił, w ciągłem się otoczeniu widział, każdy rzut oka jego okazywał mu tylko rannych, chwiejących się na koniach, lub padających z niemi na ziemię wiernych obrońców.

Uważał nadewszystko, że jeden ze skrzydlatych rycerzy, ze srebrnym hełmem na głowie i błękitną przepaską na zbroi, ustawicznie go mając na oku, wszystkie natężenia czynił, aby go mógł dosiądz orężem i wszędzie mu zachodząc, zdał się usadzać na jego życie. Odpierali go dzielnie towarzysze broni, ale nieposkromiony rycerz, umiejąc równie dzielnie niweczyć ich razy, nie przestawał przeto najbliżej przymykać się do upatrzonej zdobyczy. Zwrotny jego kasztan zawsze go tam stawiał, kędy najpodobniejsza była sposobność dokonania zamysłu. Nie znał wcale komtur tak zawziętego na siebie nieprzyjaciela, ani mógł się domyśleć, czemby nienawiść jego obudził; lecz widział jawnie z jego zaciekłości, że jeśli zginąć mu przyjdzie, pewnie z jego ręki zginie.

Już ciosem jego stracił pod sobą konia, zręcznym tylko pośpiechem w dopadnieniu innego, zaledwo zdołał się ocalić. Już wypuszczona z ręki rycerza strzała tkwiła w jego szyszaku, tymczasem wróg, sprzysięgły na dni jego, coraz bardziej nastawał, coraz się zmniejszała liczba obrońców. W tak smutnym razie, gdy już nie widział nadziei ratunku, zaniechawszy pomocy kilku wiernych, którzy mu jeszcze zostali, wymknął się z pośród nich zręcznie i korzystając z ciasności miejsca, wpadł w rozdół, okryty gęstą krzewiną i ile tylko miał siły, puścił się przez znane sobie manowce ku baszcie. Ruszył za nim w pogoń rycerz błękitnej przepaski, spinał kasztana ostrogą, lecz jeśli mu dobrze koń służył, równie dobrze rumak komtura unosił, który prócz tego świadomy lepiej różnych zwrotów drogi i jej miejsc trudnych, zawsze nad pogonią miał korzyść i wkrótce zniknąwszy jej z oczu, szczęśliwie stanął u kresu.

Już baszty mieszkańcy wiadomi byli o stoczonej bitwie, huk dział, rozlegający się po górach, dał im prędko wiedzieć o srogiem starciu się wojsk. Wkrótce chroniących się zakonników popłoch i rozruch w strażach stwierdził ich domysły. Wiedzieli już także, kto był nieprzyjacielem, ale nie mogli jeszcze dowiedzieć się, z czyjej strony była wygrana. Habdank w tej niepewności zawarłszy się z córką w kościele, gorące składał modły za zwycięztwo rodaków. Radziejko z Pojatą, ciągle otoczony strażą, ciesząc ją i męztwem wspierając, spokojnie wyglądał szczęśliwej losu przemiany. W tym stanie nadziei i trwogi zostawali mieszkańcy baszty, gdy komtur kurzem okryty, nieprzytomny i zadyszany, wpadł na dziedziniec. Jak tylko skoczył z konia, natychmiast wbiegł do pokoju Pojaty i jak sęp rzuca się na ptaszynę, tak on porwawszy dziewicę, pełen rozpaczy i trwogi, unosił ją za drzwi. Wzrok jego obłąkany, postać zmieniona, okropnym go w tej chwili czyniły. Padła mu u progu do nóg ciwunowa, prosząc ze łzami, aby jej nie rozłączał z drogą jej panią. Radziejko przedkładał, lecz ani jego uwagi, ani jęki przelękłej dziewicy, najmniejszego na dzikim Krzyżaku nie czyniły wrażenia. Głuchy na prośby i narzekania, unosił śmiało swą zdobycz, gdy oburzony tym gwałtem Radziejko, dobywszy z zanadrza sztylet, chciał mu śmiertelny cios w kark zadać; lecz niewprawna ręka, zsunąwszy się ostrzem po zbroi, chybiła celu. Uszedłszy komtur szwanku, byłby starca natychmiast ukarał, gdyby nie był zajęty utrzymaniem wydzierającej się z rąk jego Pojaty, a nawet i własnem bezpieczeństwem wśród zamieszania i trwogi, które na hasło zbliżającego się nieprzyjaciela coraz się bardziej zwiększały. Radziejko też nie czekając aż go pojmać każą, schronił się czemprędzej. Tymczasem komtur uniósłszy na koń dziewicę, właśnie w las się zapuszczał, gdy sprzysięgły na jego życie rycerz wpadł na dziedziniec.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZŁOTE MYŚLI.

Niema rzeczy trwalszej nad nienawiść głupich.

*

W grzeczności i uprzejmości prawdziwej tkwi pewien punkt honoru, pozwalający się zniżyć bez poniżenia.

J. Słowacki.

Nie pogardzaj dzisiaj bliźnim twoim: że ubogi, że popadł w błąd; nie pewnyś, co jutro dziesięciu mówić o tobie będzie. Człowiek roztropny nie zważa na obce, tylko na swoje czyny.

Jan Kasprowicz.

Mądrość bez prostoty jest chytrość i złość.

Piotr Skarga.

*) Koncerz, miecz długi, przytwierdzony do siodła u lewego boku.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

29.

Po dziesięcioletniem panowaniu umarł Stefan Batory, powszechnie żałowany. Gdyby Bóg pozwolił mu żyć choć kilka lat jeszcze, byłby wynalazł po sobie godnego następcę, gdyż wiedział on dobrze, jakie to nieszczęście groziło naszej ojczyznie przez nieustanne obieranie króla. Ponieważ jednak Stefan Batory następcy takiego nie zostawił, przyszło do wyboru króla i jedni oświadczyli się za Zygmuntem Wazą, królewiczem szwedzkim, inni za Maksymilianem, arcyksięciem austryackim.

Już Maksymilian ciągnął do Krakowa, ale zaszedł mu drogę Zamoyski, (a to z tego względu, że za Zygmuntem była większość narodu a nawet prymas ogłosił go królem) i wydał bitwę pod Byczyną, w której Maksymilian dostał się do niewoli, a wojsko jego poniosło klęskę. Teraz Zygmunt bez przeszkody mógł panować w Polsce.

Ale Polacy im więcej poznawali Zygmunta, tem więcej on się im nie podobał i dopiero to każdy zaczął żałować króla Stefana. Był on z natury dumny, ponury i choć do niego mówiono, nie lubiał odpowiadać. Ciągle przestawał z Niemcami, ubierał się po niemiecku i mówił po niemiecku.

Gdy umarł ojciec Zygmunta, król szwedzki, wdał się najniepotrzebniej w wojnę z Szwedami, z której żadnej nie odniósł korzyści.

Moskale zapraszali syna jego, Władysława, na tron moskiewski, ale Zygmunt tak kręcił i kręcił, aż przyszło do wojny, gdzie w bitwie pod Kłuszynem, (o czem pisaliśmy w nrze 32 *Roli*), hetman Żółkiewski pobił Moskali, a carów Szujskich wziął do niewoli i przywiódł Zygmuntowi III.

Zaledwie wojna z Moskalami ucichła, a już rozgorzała z Turkami, w czasie której ginie pod Cecorą Stanisław Żółkiewski. Śmierć Żółkiewskiego pomścił pod Chocimem Chodkiewicz, ale wojna mimo to trwała jeszcze lat 10, ale z niej Polacy nic nie zyskali. Mimo, że Zygmunt panował w Polsce 45 lat, nikt go nie żałował.



Carowie Szujscy przed Zygmuntem III.

Jak Wojtek Mędrek rządził światem.

(Legenda).

Dawno już bardzo dawno temu, w czasach, gdy jeszcze Pan Jezus w własnej Osobie chodził po tej naszej ziemi, żył wieśniak, nazwiskiem Wojtek Mędrek, który zawsze i ze wszystkiego był niezadowolony. Gdy tylko ktoś coś zrobił, choćby to było najmądrzejsze, Wojtek Mędrek był niezadowolony i powiadał, że onby to inaczej i lepiej był zrobił. Słowem czynił tak, jak to czyni i dziś wielu rozmaitych mędrków.

Gdy tylko ów Wojtek Mędrek spotkał się z Panem Jezusem rozpoczynał zaraz z nim sprzeczkę to o to, to o owo. Pan Jezus, nie gardząc nikim, rozmawiał chętnie z każdym a więc i z Wojtkiem, pouczając go i przekonując. Ale wszystko nadarmo.

Pewnego razu, a było to właśnie w same żniwa, spotkał Wojtek Mędrek Pana Jezusa i powiada:

— Mówisz, że Pan Bóg wszystko mądrze i dobrze uczynił, ale mnie się zdaje, że jabym to był przecie znacznie lepiej urządził. Ot, teraz naprzykład żyta jeszcze nie pochowane, pszenica na zagonie, a już drugi dzień deszcz leje, jak z cebra. Jeżeliś więc Synem Bożym, napraw to złe, jakie nam Ojciec Twój wyrządza.

Chrystus uśmiechnął się i powiada:

— Pozwól już tego roku, aby Ojciec mój skończył rządzić, jak zaczął, a na drugi rok będziesz ty rządził, jak sam zechcesz.

Ucieszył się Wojtek Mędrek okropnie i już o niczem innem nie myślał, tylko o przyszłorocznych rządach.

Zaledwie nowy rok się rozpoczął powiada Pan Jezus do Wojtka:

— Czas twoich rządów nadszedł. Uważaj, rządź dobrze, abyś potem nie żałował.

— No, no — powiada Wojtek — już się ty ta nie turbuj, dam sobie radę.

Nie podziękowawszy nawet Panu Jezusowi, poszedł Wojtek coprędzej do domu, aby się władzą swoją nacieszyć i do rządów przygotować. Miał czas dobry do namysłu, bo była zima, to robić nie było co.

Wiatr huczał na dworze i miotał tumanami śniegu, a Wojtek siedział i marzył, jakie on to rządy zaprowadzi na świecie. Czas wlókł się mu bardzo powoli, a on chciałby był, aby jak najprędzej zacząć rządzić. Ledwie styczeń upłynął, powiada Wojtek:

— No, chyba już tej zimy będzie dość. Niechże teraz nastaną ciepła, aby ludziska mogli coprędzej porobić zasiewy wiosenne.

Co tylko wypowiedział te słowa, niebo się wypogodziło, zawiał łagodny wietrzyk i rozpoczęła się

natychmiast wiosna. Wojtek zabrał się żwawo do roboty; orał, siał i ani się spostrzegł, kiedy upłynął cały luty. Pokończywszy roboty, poszedł obejrzeć swoje zasiewy i ze zdziwieniem zauważył, że jedne zboża powschodziwszy zaledwie, pożółkły wskutek posuchy, inne z braku wilgoci nawet nie powschodziły.

— Acha — powiada — teraz trzeba, aby przeszedł deszczyk, to się to wszystko zabierze do życia i wyda plon obfity.

Stosownie do jego życzenia padał deszcz póty, aż Wojtek Mędrek nie wyraził swej myśli, aby deszcz przestał padać.

I tak było przez cały rok. Nieraz Wojtkowi zdawało się, że przecież jego zarządzenia nie były wcale korzystne, ale poznawał, zdaniem jego, swój błąd natychmiast i starał się go corychlej naprawić. W drugiej połowie czerwca, gdy siana trzeba było kosić i suszyć, w lipcu, gdy zboże dojrzało i żąć je trzeba było, a nawet w sierpniu, gdy owsy dojrzewały, zarządził Wojtek Mędrek taką przepiękną pogodę, jakiej najstarsi nie pamiętali. Gdy skończył jednak sprzęt zboża, spostrzegł z przerażeniem, że jednak tej pogody było za dużo, bo nowe trawy nie rosły, a inne rośliny i drzewa pomarniały i poschły. Pocieszał się jednak tem, że co na jednem straci, to na innem stokrotnie zarobi. Czekał więc teraz niecierpliwie ostatecznego wyniku.

Nadeszła jesień — czas ostatecznego obrachunku każdego rolnika. Wojtek Mędrek aż się za głowę chwytał i rwał włosy z rozpaczy. Niedość, że różne jarzyny z powodu stałej pogody w czasie żniw zawiodły zupełnie; niedość że z tej samej przyczyny zbioru siana drugiego prawie nie było; ale co gorsza, przy młocce okazało się, że ziarno było nikłe i tak mało, że zachodziła obawa, czy Wojtkowi do połowy zimy pożywienia wystarczy.

Zrozpaczony Wojtek pobiegł do Pana Jezusa, gruchnął przed nim na kolana i powiada:

— Głupim był, Panie! głupi, bo od Boga nikt mądrzej rządzić nie potrafi. Panie, niech Ojciec Twój rządzi, jak chce, bo On to najlepiej potrafi.

Podniósł Pan Jezus Wojtka Mędrka ze ziemi i tak przemówił do niego łaskawie:

— Idź synu w spokoju — stanie się, jakoś powiedział, ale póki świat światem mędrkowie tacy będą i nikt ich przekonać o ich głupocie nie potrafi.

Antoni St. Bassara.

KOCHAM CIĘ!

Kocham Cię, kocham, pierwszą po Bogu,
Nad skarby świata i nad zaszczyty
Kocham, jak młodość miłą i drogą,
Bo w Tobie cały świat mój ukryty.

Kocham Cię, kocham, mój ideale,
Dla Ciebie zginąć jestem gotowy!
W ogień się rzucę w świętym zapale,
Byleby Twoje skruszyć okowy.

Kocham Cię, kocham, boś Ty sierotą,
Więzy okrutne dzisiaj Cię gniotą;
Kocham Cię w świecie jedyną, jedną,
A tem goręcej, że jesteś biedną!

Kocham Cię, kocham, bardziej niż siebie,
Niż to złociste słońce na niebie,
Kocham Cię świętą miłością syna
Ojczyzno biedna, Polsko jedyna!

Andrzej Dudek, włościanin z D.

Koncesye szynkarskie.

Rozdzielanie koncesyi szynkarskich przez starostwa po wygaśnięciu prawa propinacyi już się rozpoczęło. Jak już teraz można zauważyć, wielu znajdzie się niezadowolonych, a będą nimi ci, którzy koncesyi nie otrzymają. Ludzie, lubiący łowić ryby w mętnej wodzie, zaczynają już teraz podszczuwać jednych na drugich, aby wzniecić zamęt, a przy tem samem coś skorzystać.

Oczywiście ludzie ci tłumaczą sobie nową ustawę tak, jak im dogodniej. Jedni twierdzą, że szynk muszą dostać dawni szynkarze, gdyż oni mają już prawa dawno nabyte; inni, że szynk może dostać tylko ten, za kim się gmina oświadczyła.

Tak jedni jak i drudzy nie mają zupełnie słuszności. Z wejściem w życie nowej ustawy t. j. od dnia 1 stycznia 1911 dawni szynkarze tracą zupełnie wszelkie prawa i są takimi, jakby nigdy szynkarzami nie byli. Z tego też względu żadnych praw nabytych do otrzymania szynku nie posiadają.

Tak samo jednak błędnem jest twierdzenie, jakoby gmina miała prawo decyzyi w tej sprawie. Ustawa przemysłowa w § 18 prawo decyzyi przyznaje wyłącznie władzy politycznej t. j. starostwu, gminie zaś tylko prawo zaopiniowania podań kandydatów. Opinia nie jest obowiązującą, a tem mniej w tym przypadku, gdy nietylko gmina, ale także stowarzyszenie przemysłowe, powołane jest z ustawy do wydawania opinii, a oba ciała tylko w pewnych przypadkach mają przyznane sobie prawo rekursu do wyższej władzy administracyjnej, która o rekursie decyduje, zbadawszy tak osobiste warunki kompetentów, jakoteż lokal przez nich przedstawiony, wreszcie potrzebę miejscową wyszynku.

Chociaż rzecz jest tak oczywista, uznaliśmy za wskazane ją zaznaczyć, bo błędne jej przedstawiania mogą się przyczynić tylko do tego, ażeby ogół kompepetentów, nie zdających sobie z tego wszystkiego sprawy, popchnąć do wnoszenia nieuzasadnionych, możliwych i niemożliwych rekursów. Już w ciągu ostatnich miesięcy namiestnictwo kilkakrotnie przestrzegało przed niesumiennymi ludźmi, którzy od kompetentów o koncesye szynkarskie wyłudzali pieniądze, chwaląc się swoim wpływem na urzędy, mające rozdzielić koncesye. Obecnie, po rozdaniu koncesyi, może się powtórzyć w innej formie, wnoszeniem bezpodstawnych rekursów, a jak słychać, nawet skarg do trybunałów, oczywiście kosztownych Ustawa przemysłowa w § 18 ogranicza bowiem ściśle prawo wnoszenia rekursów i postanawia, że »przeciw dwom równobrzmiącym orzeczeniom nie służy dalsze odwołanie się«.

Wynika więc z tego, że gdy gmina wydała przychylną opinię, a na jej podstawie starostwo koncesyę nadało, to szkoda nawet rekurować, gdyż rekurs nic a nic nie pomoże.

Do najważniejszych przeszkód do otrzymania koncesyi należą takie wypadki: jeżeli kandydat na szynk jest człowiekiem karanym sądownie; jeżeli posiada lokal nieodpowiedni na szynkownię; jeżeli lokal znajduje się w pobliżu kościoła lub szkoły itp. W takich przypadkach, choćby gmina wydała opinię przychylną, władza polityczna powinna do niej nie przychylić się i koncesyi nie dawać.

Jeżeliby zaś gdziekolwiek władza polityczna przeoczyła przeszkody, albo o nich się przed nadaniem koncesyi nie dowiedziała, a wobec czego i rekurs mógłby być uzasadniony, należy wpierw poradzić się ludzi światłych, jakby złemu zaradzić, a nie rzucać się do bezcelowych rekursów, które tylko na stratę czasu i pieniędzy narazić mogą.

PRZĘDZA JEZUSA.

(LEGENDA).



Pewnego dnia, gdy Chrystus Pan ze św. Piotrem przechadzał się nad jeziorem Genezaret, ujrzał siedzącą na ławce nędzną kobietę. Odziana w żałobne, wdowie szaty, przędła cienką nić na kołowrotku, i ze łzami w oczach spoglądała raz po raz na śpiącą u stóp jej dziecinę.

Nagle zbliżył się do niej starzec, niosący na głowie ogromne i ciężkie naczynie z mlekiem.

— Nie mogłabyś mi pomódz? — rzekł do młodej kobiety. — Upadam ze znużenia — a muszę mleko na czas dostawić memu panu! Jestem tak słaby, że nie mogę dźwigać dalej sam tego ciężaru!

Kobieta wstała natychmiast, nakryła śpiące dziecko lekką zasłoną, i nie mówiąc słowa, zdjęła naczynie z głowy starca i postawiła je na swojej.

Po chwili zniknęli oboje pomiędzy drzewami.

— Wiem, że trzeba bliźniemu pomagać — rzekł św. Piotr — ale ta kobieta nie powinna była zostawić bez opieki dziecka i przędzy. Jest to wszystko co ma na świecie. Dziecku może się stać coś złego a przędzę może ukraść złodziej. Każdy inny byłby pomógł starcowi nieść mleka.

— A ja ci powiadam — odpowiedział Chrystus — że błogosławionym jest biedny, który biedniejszemu od siebie wyświadcza przysługę. Mój Ojciec czuwa nad tą kobietą i jej dzieckiem.

Po tych słowach usiadł Pan Jezus przed kołowrotkiem i swemi świętemi rękami zaczął prząść nić. I przez kilka minut uprządł tyle nici, że wnet miejsca przed chatą nie starczyło. A nić była dziwnie cienka i biała, aż promienie od niej biły. Dziecko spało cichutko i uśmiechało się przez sen.

Gdy kobieta wróciła, nie zastała już przed chatą nikogo. I nie odgadła nigdy, kto jej tyle nici uprządł, lecz stała się bogatą, każdy bowiem pragnął mieć przędzę od niej.

JEŻELI MASZ DOBRĄ ŻONĘ!

Jeżeli masz dobrą żonę,
To ją bracie kochaj, całuj,
Słodkich pieszczot jej nie żałuj,
Ale z miarą, szanuj onę.

Mów jej Kasiu, Marysieńko,
(Jak ją tam chrzcili w kościele),
Nie tylko w święta niedziele —
Mów tak do niej zawdziusieńko.

Bo są tacy mężulkowie:
Gdy im w pracy ciężko, słabo,
Źli do żony mówią... babo...
To obraza w takim słowie.

Wiedz, że żona, to nie święta,
Czasem zbłądzi. Za pokutę
Pogniewaj się na minutę.
Płacze?... zcałuj z łez oczęta.

Gdy gniew w sercu ci rozgorze,
Uhamuj się męża statkiem,
Nie uderzaj ani kwiatkiem
Twojej żony — broń cię Boże!

Skrzętna... słodka... pieścidełko...
Pij z jej ustek słodkie miody,
Chociaż czasem wśród przygody
Jako pszczółka ma żądełko.

Gdy ci czasem w poprzek stanie,
Zbierze cię siódma pasya,
Chociaż Twoja jest racya,
Wspomnij sobie ślubowanie.

I kochanie spowszednieje,
I słonko nie zawsze świeci,
Czasem burza w dom przyleci,
Niech z niej miłość się wyleje.

Jeżeli masz dobrą żonę
I z ciebie chłop sprawiedliwy,
Toś bracie bardziej szczęśliwy,
Byś miał królewską koronę!...

Jantek z Bugaja.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

PERŁA WARTAJĄCA DZIESIĘĆ MILIONÓW.

Noc nadeszła. Udałem się na spoczynek, ale dość źle spałem. Ciągle śniły mi się rekiny. Nazajutrz o czwartej zrana obudził mnie posługacz okrętowy, którego kapitan Nemo umyślnie do moich usług przeznaczył. Spiesznie wstałem, ubrałem się i poszedłem do salonu.

Kapitan Nemo już mnie tam oczekiwał.

— Panie Aronnax — rzekł do mnie — czy jesteś gotów do drogi?

— Jestem gotów.

— Więc proszę z sobą.

— A moi towarzysze, kapitanie?

— Są już zawiadomieni i czekają na nas.

— Czy nie włożymy na siebie naszych skafandrów — spytałem.

— Jeszcze nie teraz. Nie dałem »Nautilusowi« zbliżać się do brzegu i jesteśmy dość oddaleni od ławicy Manaarskiej: kazałem jednak przygotować łódź, która nas powiezie na miejsce najstosowniejsze do wylądowania i tym sposobem oszczędzi nam dość długiej wędrówki. Nasze ubiory nurków są na tej łodzi; włożymy je w chwili, gdy się rozpocznie wycieczka podmorska.

Kapitan Nemo zaprowadził mnie do schodów środkowych, któremi się wchodzi na platformę. Tu zastałem już Neda i Konsela zachwyconych myślą o przygotowującym się »spacerze«. Pięciu majtków z »Nautilusa« z wiosłami w ręku oczekiwało nas w łodzi, linką przywiązanej do pokładu.



... Była to ostryga nadzwyczajnych rozmiarów.

Noc była jeszcze dość ciemna. Gęste chmury okrywały niebo, na którem ledwie kilka gwiazd dostrzedz było można. Zwróciłem oczy w stronę lądu; tu jednak widziałem tylko mgliste zarysy, utworzone z trzech czwartych części widnokręgu na południowym zachodzie. »Nautilus« opłynął brzeg zachodni Cejlonu i był teraz na zachód od zatoki, utworzonej przez ten ląd i wyspę Manaar. Tu, pod ciemnemi wodami rozciągała się ławica perlic, niewyczerpane pole pereł, mające przeszło dwadzieścia mil morskich długości.

Kapitan Nemo, Konsel, Ned-Land i ja usiedliśmy w tyle łodzi. Sternik stał u przodu, a jego czterej towarzysze wspierali się na wiosłach. Odwiązano linkę i odpłynęliśmy od »Nautilusa«.

Łódź skierowała się na południe. Marynarze nie kwapili się. Zauważyłem, że ich wiosła głęboko zanurzane w wodzie, uderzały ją regularnie co dziesięć sekund, według metody ogólnie przyjętej w marynarce wojennej. Gdy tak łódź płynęła swoim torem, rozpryskujące się kropelki wody padającej na czarne bałwany morza, podobne były do roztopionego ołowiu; wietrzyk wiejący od otwartego morza lekko kołysał łódź, o której przód rozbijały się fale.

Siedzieliśmy w milczeniu. O czem myślał kapitan Nemo? Zapewne o ziemi, do której płynęliśmy, która wydawała mu się nazbyt blizko, gdy przeciwnie Kanadyjczyk sądził, że jest jeszcze zbyt oddaloną. Co do Konsela, ten miał minę turysty, którym powoduje prosta ciekawość.

Około pół do szóstej pierwsze brzaski na widnokręgu wyraźniej oznaczały wyższą linię wybrzeży. Dość równa i płaska na wschodzie, podnosiła się kulisto ku południowi. Pięć mil oddzielało nas jeszcze od brzegów, które we mgle niknęły. Morze było puste na przestrzeni między brzegami i łodzią; ani statków, ani nurków. Głęboka cisza i samotność panowały w tem miejscu schadzki poławiaczy pereł. Jak już objaśnił mnie kapitan Nemo, przybywaliśmy w te strony o cały miesiąc zawcześnie.

O szóstej rozwidniło się nagle z szybkością właściwą strefom zwrotnikowym, nie mającym ani świtu ani zmierzchu. Promienie słoneczne przebiły zasłonę z chmur, nagromadzonych na widnokręgu wschodnim i gwiazda dzienna wznosiła się szybko. Teraz wyraźnie widziałem ziemię i drzewa tu i ówdzie rosnące. Łódź zmierzała do wyspy Manaar, która się zaokrągla w stronie południowej. Kapitan Nemo podniósł się z ławki i patrzył na morze.

Na dany przez niego znak zarzucono kotwicę, a łańcuch jej zaledwie się zanurzył; dno było już w głębokości nie większej jak jednego metra, w tem miejscu był jeden z najwyższych punktów ławicy perlicowej. Łódź obróciła się zaraz, popychana odpływem, który ją ciągnął na otwarte morze.

— Stanęliśmy tedy na miejscu panie Aronnax — rzekł wówczas kapitan Nemo. — Widzisz pan tę ściśniętą zatokę? Tu właśnie za miesiąc zbiorą się liczne statki perłołowców i w tych wodach nurkowie będą robić śmiałe poszukiwania. Położenie zatoki jest bardzo dogodne do tego rodzaju łowów. Osłoniona jest od silniejszych wiatrów; morze nigdy tu nie jest bardzo burzliwe, a ta okoliczność wielce sprzyja pracy nurków. Teraz wdziejemy skafandry i rozpoczniemy przechadzkę.

Nic na to nie odpowiedziałem, i patrząc na te podejrzane wody, z pomocą marynarzy zacząłem wdziewać na siebie ciężkie ubranie morskie. Kapitan Nemo i dwaj moi towarzysze także się ubierali. Żaden z ludzi »Nautilusa« nie miał nam towarzyszyć w tej nowej wycieczce.

Wkrótce byliśmy aż po szyję uwięzieni w kauczukowem odzieniu, a szelki przypięły nam na plecach przyrządy z powietrzem.

— A broń nasza — spytałem — nasze strzelby?

— Strzelby? A to po co? Przecież wasi górale ze sztyletem w ręku walczą z niedźwiedziem, a czyż stal nie jest pewniejszą od ołowiu? Oto jest tęgi sztylet. Zatknij go pan za pas i ruszajmy w drogę.

Spojrzałem na mych towarzyszy. Byli uzbrojeni jak my, a nadto Ned-Land wywijał potężnym harpunem, który przed opuszczeniem »Nautilusa« włożył do łodzi.

Potem, idąc za przykładem kapitana, dałem sobie nakryć głowę ciężkim czerepem metalowym, a nasze zbiorniki powietrza natychmiast zostały w ruch wprawione.

Po chwili majtkowie z łodzi wysadzili nas jednego po drugim i w głębokości półtora metra wody zstąpiliśmy na gładki piasek. Kapitan Nemo skinął na nas ręką, żebyśmy szli za nim i po lekkiej pochyłości zniknęliśmy pod falami.

Tu opuściły mnie myśli niepokojące mój umysł. Stałem się nadzwyczajnie ufnym. Łatwość poruszeń wzmacniała moje zaufanie, a osobliwość widowiska żywo zajmowała moją wyobraźnię.

Około siódmej stąpaliśmy już po ławicy perlicowej, na której ostrygi perłowe odradzają się milionami.

W tej chwili otworzyła się przed nami obszerna jaskinia, wydrążona w malowniczej gromadzie skał, ubarwionych najpiękniejszą florą podmorską. Zrazu jaskinia wydała mi się najzupełniej ciemną. Zdawało się, że promienie słoneczne stopniowo w niej gasły.

Kapitan Nemo wszedł do jaskini, a my za nim. Oczy moje wkrótce przyzwyczaiły się do tego mroku. Przypatrywałem się kapryśnym zagięciom sklepienia, które się wspierało na słupach naturalnych, szeroko osadzonych na granitowej podstawie, niby ciężkie kolumny. Dlaczego nasz niepojęty przewodnik zaprowadził nas w głąb tej katakumby podmorskiej? Niebawem miałem się o tem dowiedzieć.

Zstępując po dość spadzistej pochyłości, zeszliśmy na dno pewnego rodzaju studni okrągłej. Tu kapitan Nemo zatrzymał się i ręką wskazał na przedmiot, któregom jeszcze był nie spostrzegł.

Była to ostryga nadzwyczajnych rozmiarów, w której zmieściłoby się jezioro wody święconej; koncha, której szerokość przechodziła dwa metry, a przeto większa od tej, jaka zdobiła salon »Nautilusa«.

Zbliżyłem się do tego ogromnego mięczaka. Ostryga ta mogła ważyć trzysta kilogramów. Owóż taka ostryga ma piętnaście kilogramów mięśni i potrzebaby mieć żołądek bajecznego olbrzyma, żeby ich połknąć z pół kopy.

Oczywiście kapitan Nemo wiedział o istnieniu tej muszli dwuskorupnej. Nie po raz pierwszy ją odwiedzał — sądziłem, że prowadząc nas do tego miejsca, chciał nam tylko pokazać osobliwość natury. Omyliłem się. Kapitan Nemo miał swój własny interes w poznaniu teraźniejszego stanu tej ostrygi.

Dwie skorupy mięczaka były nawpół otwarte. Kapitan zbliżył się, wsunął swój sztylet między muszle, żeby się nie zamknęły, a potem ręką podniósł u brzegów tunikę błonowatą, tworzącą osłonę zwierzęcia.

Tu, między liściowatemi zwojami, zobaczyłem wolną perłę, dochodzącą wielkości orzecha kokosowego. Jej kształt kulisty, doskonała przeźroczystość i przedziwny blask różnobarwny, tworzyły z niej klejnot nieocenionej wartości. Ciekawością zdjęty, wyciągnąłem rękę, żeby ją wyjąć, zważyć, obejrzeć. Kapitan jednak zatrzymał mnie, zrobił znak przeczący i szybkim ruchem wyciągnąwszy sztylet, nagle zamknął obie skorupy muszli.

Zrozumiałem wówczas zamiar kapitana Nemo. Zostawiając tę perłę, osłonioną ciałem trydakny, pozwalał jej nieznacznie wzrastać. Z każdym rokiem wydzieliny mięczaka dodały do niej nowe pokłady spółśrodkowe. Sam tylko kapitan znał jaskinię, gdzie dojrzewał ten przedziwny owoc natury, sam hodował go niejako, aby z czasem przenieść do swego szacownego muzeum. Może nawet, naśladując przykład Chińczyków i Indyan, sam spowodował utworzenie tej perły, kładąc pod zwoje mięczaka kawałek szkła lub metalu, który potem zwolna okrywał się materyą perłową. W każdym razie, porównywając tę perłę z tą, którą już znałem — i z temi, które jaśniały w zbiorze kapitana, oceniłem jej wartość co najmniej na dziesięć milionów franków.

Skończyła się wizyta u bogatej ostrygi. Kapitan Nemo wyszedł z jaskini i wstępowaliśmy na ławicę perlicową, pośród wód przeźroczystych, których nie mąciła jeszcze praca nurków.

W dziesięć minut później kapitan Nemo nagle zatrzymał się. Myślałem, że się chce zawrócić; ale nie. Skinieniem ręki kazał nam skryć się przy nim w głębi szerokiego wydrążenia skały. Ręka jego była wyciągnięta i bacznie patrzyłem w jej kierunku.

O pięć metrów odemnie ukazał się cień i zniżył aż do ziemi. Niepokojąca myśl o rekinach znowu przemknęła po mojej głowie, myliłem się jednak; i tym razem jeszcze nie mieliśmy do czynienia z potworami oceanu.

Był to człowiek, człowiek żywy, Indyanin, rybak, biedaczysko, który zapewne wyruszył na pokłosie przed żniwami. Zobaczyłem dno jego łodzi, stojącej o kilka stóp nad jego głową. Zanurzał się i wypływał kolejno. Kamień ociosany w kształcie głowy cukru, który ściskał nogami, gdy tymczasem sznur łączył go ze statkiem, służył mu do szybszego spuszczania się na dno morza. Były to wszystkie jego narzędzia. Spuściwszy się na dno pięć metrów głębokie, padał na kolana i napełniał swój worek perliczkami, na chybi trafi zebranemi. Potem wypływał na wierzch, wypróżniał swój worek, wyciągał z wody kamień i na nowo rozpoczynał operacyę, która nie trwała dłużej nad trzydzieści sekund za każdym razem.

Nurek ten nas nie widział, gdyż cień skały nas zasłaniał. A zresztą, jak mógł ten biedny Indyanin przypuszczać, że istoty podobne do niego były pod wodą, śledziły jego poruszenia i nie traciły najmniejszego szczegółu jego łowów?

Tym sposobem kilkakrotnie wypłynął i zanurzył się znowu, a za każdym razem wyniósł nie więcej jak kilkanaście perliczek; musiał bowiem wydzierać je z ławicy, do której przyczepiły się silnym bisiorem. A ile z tych ostryg pozbawione było owych pereł, dla których narażał swe życie!

Patrzyłem na niego z natężoną uwagą. Manewry jego odbywały się regularnie, i przez pół godziny żadne niebezpieczeństwo nie zdawało się mu zagrażać. Oswajałem się więc z widowiskiem tych zajmujących łowów, gdy nagle w chwili, gdy Indyanin klęczał na dnie morza, zobaczyłem jak się obrócił przerażony, podniósł i skoczył, żeby wypłynąć na powierzchnię wody.

Zrozumiałem jego przestrach. Olbrzymi cień ukazał się nad nieszczęśliwym nurkiem. Był to rekin niezwykłej wielkości, spuszczający się po linii przekątnej, z rozpromienionem ślepiem i rozwartemi szczękami.

Oniemiałem ze zgrozy i nie byłem w stanie się poruszyć.

Żarłoczne zwierzę silnem uderzeniem pletw rzuciło się ku Indyaninowi, który zręcznie odskoczył na bok i uniknął zębów rekina, lecz pchnięty ogonem w piersi, padł na ziemię.

Scena trwała może parę sekund. Rekin powrócił, i obracając się na grzbiecie, zabierał się do przecięcia Indyanina na dwoje, gdy kapitan Nemo, który siedział przy mnie, nagle zerwał się na nogi, i ze sztyletem w ręku porwał się na potwora, gotów stoczyć z nim bój śmiertelny.

Żarłacz, w chwili gdy miał porwać nieszczęśliwego rybaka, spostrzegł nowego przeciwnika, i obracając się brzuchem, szybko skierował się ku niemu.

Widzę jeszcze postawę kapitana Nemo. Spokojny, z przedziwnie zimną krwią czekał na strasznego żarłacza, a gdy ten rzucił się ku niemu, kapitan ze zdumiewającą zręcznością uniknął starcia, i chwyciwszy zwierzę za pletwę przy dolnej szczęce, utopił mu w brzuchu sztylet po rękojeść. Nie na tem koniec: teraz właśnie rozpoczęła się walka.

Rekin ryknął, że tak powiem. Krew strumieniami trysnęła z jego rany. Morze zafarbowało się czerwono i przez ten ciemny płyn niczego już nie widziałem.

Nie widziałem nic aż do chwili, gdy przy smudze światła ujrzałem znów zuchwałego kapitana, jak wciąż, trzymając pletwę potwora, walczył z nim zawzięcie, prując brzuch nieprzyjaciela, a jednak nie mogąc mu zadać stanowczego ciosu, to jest ugodzić w serce. Żarłacz, broniąc się, wściekle poruszał wody, których bałwany o mało mnie nie obaliły.

Chciałem biedz na pomoc kapitanowi, ale grozą zdjęty nie mogłem się poruszyć.



... utopił mu w brzuchu sztylet.

Patrzyłem obłąkanym wzrokiem. Widziałem zmieniające się zwroty walki. Kapitan padł na ziemię, powalony potwornem cielskiem, które na nim ciążyło. Później szczęki rekina rozwarły się niepomiernie, jak ogromne nożyce, i już byłoby po kapitanie, gdyby lotem błyskawicy nie nadbiegł Ned-Land i harpunem swoim nie zadał rekinowi śmiertelnego ciosu.

Masa krwi zafarbowała fale. Ned dzielnie uderzył. Ugodzony w samo serce, potwór rzucał się w strasznych konwulsyach i obalił Konsela.

Ned tymczasem oswobodził kapitana, który, wstawszy bez rany, poszedł prosto do Indyanina, żywo odciął kamień, wziął omdlałego na ręce, i silnie uderzywszy nogą o ziemię, wypłynął z nim na powierzchnię morza.

Wszyscy trzej poszliśmy za jego przykładem i po kilku chwilach, cudownie ocaleni, dostaliśmy się do łodzi rybaka.

Pierwszem staraniem kapitana Nemo było przywołać nieszczęśliwego do życia. Nie wiedziałem, czy to się uda. Wprawdzie zanurzenie biedaka nie długo trwało, ale rekin uderzeniem ogona mógł zabić go na miejscu.

Szczęściem, silnie nacierany przez Konsela i kapitana, topielec odzyskał przytomność i otworzył oczy. Proszę sobie wyobrazić jego zdziwienie a nawet przestrach na widok czterech dużych głów miedzianych, nad nim pochylonych.

A nadewszystko, gdy kapitan Nemo, wyjąwszy z kieszeni swego ubrania torebkę z perłami, wetknął mu ją do ręki! Ta szczodra jałmużna człowieka wód, dana biednemu Indyaninowi Cejlonu, przyjęta była ze drżeniem. Wytrzeszczone i wylękłe oczy nieboraka dostatecznie wskazywały, iż nie wiedział, jakim istotom nadludzkim zawdzięczał majątek i życie.

Na dany znak przez kapitana, wróciliśmy do ławicy perłowej, idąc drogą już przebieżoną; po wędrówce półgodzinnej doszliśmy do kotwicy przytrzymującej łódź »Nautilusa«.

Zasiadłszy w łodzi, każdy z nas przy pomocy marynarzy, oswobodził się z ciężkiego czerepu.

Pierwsze słowa kapitana Nemo zwrócone były do Kanadyjczyka.

— Dziękuję ci, mości Land — rzekł do niego.

— O, kapitanie — odpowiedział Ned-Land — to tylko wet za wet. Należało się to panu odemnie.

Blady uśmiech przemknął po ustach kapitana i na tem się skończyło.

— Do »Nautilusa« — rzekł.

Łódź szybko mknęła po falach. W kilka minut później spotkaliśmy pływające cielsko zabitego rekina.

Kiedym się przypatrywał zabitemu cielsku, z kilkanaście takich samych czarnopletwych żarłoków ukazało się nagle około łodzi; nie zajmując się jednak nami, rzuciły się na trupa i wydzierały sobie jego kawały.

O wpół do dziewiątej powróciliśmy na pokład.

Tu jąłem rozważać przygody naszej wycieczki do ławicy Manaarskiej. Dwie myśli przedewszystkiem mnie zastanawiały: niesłychana, do zuchwalstwa posunięta odwaga kapitana Nemo i jego poświęcenie się dla istoty ludzkiej, dla jednego z przedstawicieli plemienia, od którego uciekał pod morza. Cokolwiek mówił ten dziwny człowiek, nie zdołał on przecież stłumić w sobie głosu serca i litości dla bliźnich.

Kiedym mu powtórzył to spostrzeżenie, odpowiedział mi głosem nieco wzruszonym:

— Ów Indyanin, panie profesorze, jest mieszkańcem kraju uciśnionych, a jeszcze należę, i do ostatniej chwili życia należeć będę do tego kraju.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Jagem to juz w tamte niedziele pedzioł, Poniezus urodził zyto i zimniacki na schwał, trzaby więc o babie pomyśleć, aby się ctek sam po tym świecie nie tyrał i miał kogo na starość naprać. Różnie to bywa na tym świecie: źle i dobrze, ale juz zawse lepiej, jak ma ctek kogo zarnówicą przejechać.

Z tego sposobu i ja postanowiłem się ozenić, a ze to gazyciarze ludzie uściwi, latego przez gazyte chciałbym se baby posukać. Ja ta wiem, ze nima taki dzieuchy na świecie, coby ją oskomina na chłopa nie zbierała, więc tez ni mam stracha, aby o babę było trudno, jesce la takiego chłopaka, kieby ja.

Ale ze ja nie lubię nicego po omacku, ino chce zawse iść prostem gościeńcem, la tego tez chce naprzód wygadać, co moja baba mieć musi, aby się za mnie wydać. Nie jestem ja ta zaden organista, ani insy muzykant, zebym duzo przebirał, ale trzy rzecy moja baba mieć powinna.

Prawda, ze to okropnie maluśko.

A więc najpirw musi mieć trzy rzecy wielgie: chałpę, pole i gębę, zeby było w co uwalić, jak się ctek rozechla.

Potem — trzy rzecy carne: jałówkę, krowę i spodnicę, bo biała, to się prędko ochlapie i trzeba ją co rok prać, a to ino strata casu.

Trzy rzecy białe: gęsi, płótno i mąkę na kluski, bo choć z razowej dobre, ale z biały lepse, jak ich jest duzo i często.

Trzy rzecy małe: prosięta, dzieci i zołondek, zeby duzo nie zarła, bo juz ta ja wolę jeść, a baba niech robi, bo ją Poniezus do robienia stworzył.

Trzy rzecy mocne: nogi, plecy i chusty, aby się prędko nie darły, bo ja na loteryję nie stawiam, aby babie co pare lat nowe chadery kupować.

Trzy rzecy tępe: język, zęby i pazury, coby mi ślipiów nie wydarła, jak się pohandrycywa i ja ją za to spierę porządnie.

A zatem ino trzy rzecy moja baba mieć musi, jezeli chce się za mnie wydać. Niewielga to rzec i każda dziwka te trzy drobiazgi mieć moze, przez co nie będę jeździł za babom ani do Hameryki, ani do Prus, ani do Krakowa, ani nigdzie dalej.

Jak się juz która namyśli, zeby pójść za mnie, to niech zadnych pisaniów do mnie nie posyła, ale odrazu szóstki, cobym jegomości na opowiedzi zaniósł i z panem organistą przepalanki chlapnął.

A gdyby się więcej takich babów przytrafiło, coby za mnie chciały iść, to niech się nie turbują, ale szóstki przysyłają, bo jak ma być strapacyja z jedną, to niech będzie juz porządniejsza z wieloma.

Na wesele zaprosę nie byle kogo, ale wsyćkie urzędniki ze wsi: i gróbarza, i pisarza, i oglądaca i wszystkich cytelników od nasy gazytki *Roli*. — Kto więc jesce prenumeratorem nie jest, niech się spiesy niem zostać, abym go zaprosił.

Z TYGODNIA.

Zwołanie sejmów. Patentem cesarskim został Sejm galicyjski zwołany na 22 września. Sejmy: dolno-austryacki, salcburski, styryjski, karyntyjski i przedarulański zostały zwołane na 20 września, zaś śląski na 19 września a górno-austryacki na 28 września. Zwołanie innych sejmów krajowych, które jeszcze w jesieni mają się zebrać, nastąpi w późniejszym terminie.

Wybór posła. W ubiegłym tygodniu dokonano w powiecie stryjskim wyboru posła na sejm krajowy w miejsce Dra Eugeniusza Oleśnickiego, który mandat złożył. Głosowało ogółem 171 wyborców, z których 126 oddało głosy na Dra Eugeniusza Petruszewicza, adwokata w Skolem, kandydata Ukraińców, zaś kandydat stronnictwa staroruskiego Dr. Aleks. Sawiuk, adwokat z Sanoka otrzymał 45 głosów.

Moskalofile zaczynają prowadzić swoją agitacyę coraz żywiej we wschodniej Galicyi. Coraz częściej widać w miastach pogranicznych oficerów rosyjskiej żandarmeryi. Bardzo ożywiony ruch panuje wśród młodzieży moskalofilskiej, która urządza odczyty i wieczorki, sławiące dobrodziejstwa rosyjskie. Moskalofile przygotowują się do kampanii przy spisie ludności i chcą, aby Rusini zapisywali jako język rodzinny rosyjski a nie ruski, choć to całkiem co innego.

Rokowania czesko-niemieckie. Już oddawna usiłuje rząd austryacki zaprowadzić zgodę pomiędzy Czechami a Niemcami, ale zawsze bez skutku. Tak rozumniejsi Czesi, jak i rozumniejsi Niemcy czują to dobrze, że ciągła walka dwóch narodów, zamieszkujących jeden kraj, nic dobrego temu krajowi nie przyniesie, ale owszem pcha go ku nędzy. Chcieliby więc, aby obie narodowości pogodziły się i zabrały do wspólnej pracy. Przeszkadzają temu jednak rozmaici wichrzyciele, którzy to na wiecach mają gębę od stodoły do stodoły, ale gdy przyjdzie pracować, to tylko przeszkadzają i burzą. Obecnie rząd znów zwołuje konferencye ugodowe do Pragi, ale wszyscy są przekonani, że spełzną one na niczem, gdyż pod naporem wichrzycieli żadna strona w niczem nie ustąpi.

Moskale dalej prześladują. Moskale wytoczyli ks. biskupowi Cieplakowi proces, zarzucając mu, że podczas objazdu dyecezyi rzymsko-katolickiej na Litwie wygłaszał mowy polityczne. Jest to tylko pozór, pod którym kryje się chęć przeszkodzenia arcypasterzom katolickim odwiedzania wiernych. Moskale mają nadzieję, że w ten sposób szyzma prędzej się rozszerzy na Litwie.

Spory grecko-tureckie nie ustały, ale ciągle trwają dalej. Wskutek tego od czasu do czasu przychodzi do małych starć granicznych, a niektórym ludziom zdaje się, że to już początek wojny. W Grecyi czasy bardzo niepewne i niespokojne. Armia, zarówno jak i polityczne stronnictwa, podzieliły się na dwa obozy. Jedni żądają ustąpienia rządu, drudzy, aby rząd pozostał. Tak jednym jak i drugim zdaje się, że wtedy będzie dobrze, gdy oni zwyciężą, a tu tymczasem wszelkie kłótnie tylko ku złemu prowadzą, a z nich tylko wrogowie korzyść odnoszą.

Przymierze japońsko-angielskie. Jak wiadomo, pomiędzy Anglią a Japonią jest przymierze takie, że gdyby jedno z tych państw było zmuszone prowadzić wojnę z dwoma wrogami, to drugie ma mu przyjść wtedy z pomocą. Dla Japonii przymierze to było bardzo korzystne w czasie wojny jej z Rosyą, wobec tego starała się ona o przedłużenie go. Starania jej zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem i przymierze obecnie zostało przedłużone do 1916 r.

KRONIKA.

Pożar kościoła. W Kosocicach pod Krakowem w ubiegłym tygodniu spalił się doszczętnie kościół. Na ratunek pospieszyła straż ogniowa z Podgórza i Piasków, oraz wojsko z poblizkich fortów pod komendą oficerów. Niestety, nie udało się opanować ognia. Okazała, chociaż drewniana świątynia, spłonęła w całości wraz z niezwykle bogatem wewnętrznem urządzeniem. Ocalały tylko sąsiednie budynki. Szkoda jest bardzo znaczna. Przyczyna pożaru na razie niewiadoma.

Żywcem ugotowana. Tyle wypadków smutnych zdarza się z powodu braku opieki nad dziećmi, a mimo to trudno ludzi do niej nakłonić. I znowu w miasteczku Waszkowicach nad Czeremoszem zdarzył się grozą przejmujący wypadek. Oto gospodarz tamtejszy, Mikołaj Sobko, wyszedłszy wraz z żoną do kopania grzęd w ogrodzie koło domu, pozostawił w chacie półtoraroczną córeczkę swą, Eugienię, śpiącą na piecu. Dziecko, przebudziwszy się ze snu i chcąc widocznie zejść z pieca, wpadło główką na dół do jednego z garnków, stojących na kuchni, napełnionych wrzącą wodą. Gdy rodzice w kilka minut później weszli do chaty zastali swą jedyną córeczkę już bez życia, formalnie ugotowaną w garnku, do którego wpadła. Za pozostawienie dziecka bez nadzoru pociągnięto zrozpaczonych rodziców do odpowiedzialności. Próżne żale po szkodzie!

Okropny czyn. Nieraz człowiek, uniesiony gniewem przeciw jednej osobie, czyni coś takiego, co może pozbawić życia niewinnie wiele osób. Takiego czynu dopuścił się nieznany jakiś sprawca w kopalni św. Trójcy w Polskiej Ostrawie, który usiłował podłożyć ogień i wywołać wybuch gazów a następnie pożar. 300 górników uniknęło śmierci jedynie z powodu tej okoliczności, że papier podrzucony zgasł i nie spowodował pożaru. Widocznie Pan Bóg miał ich w swej opiece i wybawił z nieszczęścia.

Wybory węgierskie bywają gwałtowne i nieraz leje się krew. Bywa tak nietylko przy wielkich wyborach, do Sejmu, ale także przy mniejszych do Rad powiatowych. Zwykle jednak przychodzi do bójki między wyborcami, gdzieś na ulicy czy na drodze, nie w lokalu wyborczym.



Jednakowoż przed niedawnym czasem przyszło do wielkiej awantury w samej komisyi wyborczej, a brali w niej udział nie bylejacy rozbijakowie, tylko najpoważniejsi obywatele powiatu, a z nimi i żupan, tyle co nasz starosta. Mianowicie komisya wyborcza pokłóciła się z żupanem, i ten wyrwał jednemu z członków komisyi jakiś papier z ręki. To dało hasło do strasznego gwałtu. Wszyscy zaczęli rzucać na żupana, co który miał pod ręką: kałamarze, stołki, księgi — co było. Żupan wyciągnął rewolwer, aby się bronić, ale nie było w środku nabojów, więc nie wystrzelił. Samo okazanie broni rozzłościło jeszcze bardziej członków komisyi, wskutek czego srodze poturbowali wysokiego urzędnika królewskiego. Ładne zwyczaje na tych Węgrzech!!

Morderstwo pograniczne. Na granicach różnych państw często przychodzi do starć między strażami, pilnującymi granicy a przemytnikami. Często i krew się poleje. Ale na granicy rosyjskiej wydarzają się gorsze rzeczy, bo żołnierze rosyjscy napadają czasem na spokojnych ludzi i strzelają jak do zwierzyny. W ostatnich dniach zuchwałość pogranicznych żołnierzy rosyjskich doszła do szczytu. Niedaleko Dąbrówki, na Śląsku pruskim, przeszedł z Królestwa Polskiego, ze wsi Milowic, chłopak 11 lat liczący przez pograniczną rzekę Brynicę na brzeg pruski i usiadł sobie na brzegu.



Widząc to żołnierz rosyjski, wycelował z karabinu i strzelił do chłopaka, trafił go w głowę i na miejscu trupem położył; następnie przeszedł przez rzekę na pruską stronę po niego i przewlókł go na stronę rosyjską. Po wystrzale, zaczęli się ludzie schodzić w pobliżu mieszkający, na pruskim brzegu, niektórzy nawet uzbrojeni, lecz było już zapóźno, bo żołnierz rosyjski trupa ze strony pruskiej już wziął. Okopano tylko małem rowem wkoło miejsce, na którem kawałek czaszki, wylany mózg i krew z głowy zabitego pozostała. Uwiadomiony żandarm z Dąbrówki przybył na miejsce zabójstwa i spisał protokół. Chłopak ten był jedyną podporą swej matki niewidomej. Ciekawa rzecz, czy spotka kara dzikiego żołnierza za to, że na pruskim gruncie zabił człowieka, a potem przekroczył granicę i zwłoki przeciągnął.

Tajemniczy więzień znajduje się w domu karnym w Rendsburgu. Jest to pewien młody mężczyzna, który tam już od 6 lat siedzi, a dotąd nie zdołano stwierdzić kim właściwie jest. On sam odmawia uporczywie pod tym względem wszelkich wyjaśnień.

Sam sobie grób wykopał grabarz Windheim w miejscowości Moos pod Wyrcburgiem, a następnie się powiesił w kostnicy na cmentarzu. Był to człowiek już stary i pełnił obowiązki sługi gminnego i grabarza. Co go skłoniło do tego czynu, nie wiadomo.

Straszny dramat rodzinny. Nieraz człowieka przycisną tak nieszczęścia, że z rozpaczy dopuszcza się czynów, na wspomnienie których włosy stają na głowie. Takiego rozpaczliwego czynu dopuścił się czeski górnik Zadtko w Turn, który co dopiero wrócił z Westfalii. Uderzeniem siekiery w głowę zamordował własną żonę i 3-letnią córkę a na domiar grozy rozpruł żonie brzuch. Następnie zadał sobie kilka niebezpiecznych pchnięć nożem, a gdy to nie skutkowało, rzucił się oknem na podwórze. Przyczyna okropnego zajścia niewiadoma. Gdyby był myślał o Bogu, nicby go do takich zbrodni skłonić nie zdołało.

Bardzo smutny wypadek wydarzył się w Kolonii. Pewne 8-letnie dziewczę szkolne wiozło w wózeczku dwóch chłopczyków w wieku 3 i 4 lat na przechadzkę. Naraz straciło władzę nad wózkiem, który na spadzistej ulicy sam szybko się stoczył i wjechał z boku na wóz, obładowany węglami. Dzieci dostały się pod jego koła i tak ciężkie odniosły uszkodzenia, iż po kilku minutach śmierć nastąpiła. Jest to nauka dla innych, aby dzieci samych bez opieki nie zostawiać.

Mężobójczyni. Niezawsze małżeństwo jest rajem, ale owszem staje ono się nieraz ciężarem, szczególniej dla tych osób, które nie chcą sobie czynić wzajemnych ustępstw. W razie niesnasek małżeńskich niektóre osoby podszczute przez dyabła starają się więzy małżeńskie morderstwem rozerwać. Wypadek taki zaszedł obecnie w Sosnowcu, gdzie mieszkanka wsi Niemce, nazwiskiem Łaskowa, zapragnęła pozbyć się męża, z którym przedtem żyła dobrze i miała 5-cioro dzieci. Mąż jej był górnikiem w kopalni »Kazimierz«. W celu wykonania swego zamiaru, Łaskowa udała chorą, posłała męża po lekarstwo, tymczasem zaś namówiła niejakiego Kotła, który tylko co powrócił z zesłania, ażeby dopomógł jej w uskutecznieniu zabójstwa. Za pieniądze przyobiecane Kocioł zdecydował się sam zabić. Jakoż niezwłocznie udał się na spotkanie swej ofiary i na drodze dał do Łaska dwa strzały z rewolweru. Łasek padł. Kocioł poszedł po nagrodę. Tymczasem ciężko raniony Łasek ocknął się z omdlenia, jęki jego zwróciły uwagę przechodniów. Przeniesiono go do domu, gdzie ostatecznie wszystko się wykryło. Kocioł i żona Łaska przyznali się do winy. Oboje aresztowano. Łasek niebawem zmarł. Mężobójczyni pozbyła się wprawdzie męża, ale zarobiła na kryminał a może i szubienicę.

Nauczyciela ukamienowali niedorośli w pewnej wsi bawarskiej. Gdy wracał nocą do domu, kamieniami ciężko go zranili i w tym stanie pozostał na drodze aż do rana. Smutna będzie przyszłość takich drabów.

Pieszo naokoło świata. Do Warszawy, stolicy Królestwa Polskiego, przybył pan Konstanty Wieliczkow, bułgarski dziennikarz-turysta, odbywający pieszo podróż naokoło świata. Pan Wieliczkow przywędrował z Prus przez Kalisz, a z Warszawy podąża do Moskwy szosą moskiewsko-brzeską i dalej do Persyi.

Przeszedł już całą Europę zachodnią, pozostawiwszy za sobą przestrzeń około 6750 kilometrów. Ogółem w przeciągu lat 4 przebyć ma 26 tysięcy kilometrów.

W roku 1903 podróżnik ów już otrzymał nagrodę od bułgarskiego klubu turystycznego w sumie 5 tysięcy franków za odbycie podróży pieszej z Sofii do Paryża w ciągu dni 42.

O ile wykona on obecnie przedsięwziętą podróż naokoło świata, w takim razie czeka go nagroda w sumie 50 tysięcy franków. Ładny zarobek, ale i trud niemały.

Umarły ocalał, ale żywy zginął. We wsi Borucinku pod Osięcinami, na Kujawach, umarło gospodarzowi Habrowi dnia 1 sierpnia dziecko. Wieczorem strapiony ojciec usiadł przy trumience i postanowił czuwać całą noc. Ale nad ranem sen go zmorzył, a tymczasem świeca paląca się przy trumience snać przewróciła się, czy też był w izbie przeciąg, i podmuch powietrza pochylił płomień, dość, że wszczął się pożar, i gdy Haber się obudził, ogień szerzył się już dokoła. Spalił się dom i przyległe nowe zabudowania. Zwłoki zmarłego dziecka uratowano, ale w przestrachu i zamieszaniu domownicy zapomnieli, że w izbie, gdzie stała trumienka, spał starszy, 11-letni syn Habra. Nieszczęśliwy chłopak zginął okropną śmiercią w płomieniach; nazajutrz znaleziono w zgliszczach zwłoki jego na węgiel spalone.

Nieprzyjemny testament. Jak wiadomo Anglia jest krajem ludzi bardzo rozumnych, ale pośród nich jest też wielu dziwaków, którzy, żyjąc w dobrobycie, nie wiedzą, co nowego wymyśleć, aby sobie nudy osłodzić, gdyż nie przywykli pracować a zajęcia nie mają. Czasem taki dziwak nietylko za życia łamie głowę nad nadzwyczajnościami, ale i po śmierci każe wyprawiać ze sobą osobliwości. Takim był zmarły niedawno lord L., starzec siedmdziesięcioletni, który mieszkał we wspaniałym swym dworze na wsi. Zapisał on majątek swemu siostrzeńcowi, ale nakazał mu co następuje: po śmierci nie wolno go chować w grobie, ale trzeba oddać do trupiarni, gdzie zdejmą z niego ciało a zostawią tylko kości. Szkielet ten należy schować i czekać, aż umrze jego przyjaciel, stary pułkownik F., z którym lord codziennie grywał w szachy w ogrodzie. Z ciałem pułkownika zrobić się ma to samo, co zrobiono z ciałem hrabiego, a potem obydwa kościotrupy posadzić na stołkach w parku, w tem samem miejscu i przy tym samym stoliku, przy którym przez lata grywali w szachy. Jak zażądał, tak się stało. Doczekano się śmierci pułkownika, który pozwolił za życia na dokonanie na jego zwłokach takiej operacyi.



Siostrzeniec lorda usadowił oba kościotrupy, według życzenia zmarłych, na środku trawnika w ogrodzie. Dodał tylko jedno, mianowicie otoczył ich wysokim parkanem, aby nikt nie widział tego przykrego widoku. Siedzą tak oba szkielety dzień i noc, na deszczu i słocie, na wietrze i w słońcu, póki się kości z biegiem czasu nie rozkruszą. Nadmienić wypada, że ów lord był ewangielikiem, nie katolikiem, gdyby był katolikiem, z pewnością nie wymyślałby takich nieprzyjemnych testamentów i wolałby spocząć w poświęcanej ziemi, po chrześcijańskim pogrzebie.

Samobójstwo 110-letniego starca. We wsi Razwognaja, w Rosyi, powiesił się niejaki Junkiewicz, liczący 110 lat. Przyczyną rozpaczliwego kroku były wyrzuty krewnych, którzy utrzymywali, że jest darmozjadem. Zapomnieli widocznie niedobrzy krewni, że i oni w latach dziecinnych byli darmozjadami i że na starość nimi być mogą.

Trup w kufrze. Niema prawie dnia, aby z Rosyi nie nadeszła wiadomość o jakiemś morderstwie. Obecnie donoszą, że na parowcu »Kniazina« Tow. wołżańskiego wykryto po przybyciu do Kazania kufer, obszyty w rogożę, z którego dobywał się ohydny odór. W kufrze, po otwarciu, znaleziono zwłoki mężczyzny na wpół już uległe rozkładowi. Stwierdzono, że kufer wysłany był z Astrachania.

Masowe aresztowania złodziei kieszonkowych. W Ostendzie aresztowano podczas koncertu Karussa w domu leczniczym 34 złodziei kieszonkowych. Jednemu odebrano 11 skradzionych portfeli i 13 portmonetek z pieniądzmi. Strach bierze, ilu to próżniaków chce żyć bez pracy.

Doniosły wynalazek. W Medyolanie, we Włoszech, młody fotograf wynalazł sposób wykonywania fotografii plastycznej, który nazwał »rzeźbą fotograficzną«. Poza trwa dwie sekundy, po dwóch zaś godzinach gotowe jest uwypuklone popiersie osoby fotografowanej.

Czarna ręka. We Włoszech jest stowarzyszenie zwane »Czarna ręka«, którego członkowie wymuszają od różnych ludzi pieniądze, a gdy się im ktoś sprzeciwi, mordują w okropny sposób. Obecnie, jak donoszą z Rzymu, nowego strasznego czynu zemsty dopuścili się członkowie »Czarnej ręki« na chłopie Rugolino, który z rodziną powrócił z Ameryki do Pastromare we Włoszech. Czterech zbrodniarzy za pomocą podrobionego klucza wtargnęło do ich mieszkania i wymordowali sztyletami w nocy całą rodzinę, składającą się z siedmiu osób. Trzyletnie dziecko, usiłujące uciec, zasztyletowano na ulicy. Policya stara się wszelkimi siłami wytępić tę plagę ludzkości, ale, niestety, jak dotychczas, bez skutku.

Walka ze szczupakiem. Jeziora Ameryki Północnej, bardzo wielkie i głębokie, posiadają ryby sławne ze swego ogromu. Niejaki Grail, mając wolny czas, poszedł łowić ryby w jeziorze Grenwod. Zarzuciwszy sznur z hakiem do wody, drugi koniec sznura okręcił sobie koło szyi, chcąc zapalić fajkę. W tej chwili na hak wędki złapał się olbrzymi szczupak, który, szarpnąwszy się, wciągnął Graila do wody.



W wodzie rozpoczęła się walka człowieka z rybą i niewiadomo czemby się skończyła, bo rybak został wciągnięty kilka razy pod wodę, a sznura z szyi ściągnąć nie mógł. Wreszcie przyszedł mu z pomocą drugi mężczyzna, łowiący ryby w pobliżu. Wyciągnął on Graila i szamocącego się szczupaka z wody na brzeg. Szczupak ważył kilkanaście kilogramów.

Powrót do Kościoła. Gomes Lean, jeden z największych portugalskich poetów, dotychczasowy wróg Kościoła katolickiego, nawrócił się i oświadczył, że potępia wszystkie dzieła i poemata, które swego czasu napisał przeciw Kościołowi. Stał on się obecnie najgorliwszym katolikiem.

Król murzyński chrześcijaninem. Świeżo przyjął chrzest św. przywódca szczepu murzyńskiego we wschodniej Afryce, król Kiratu. Z nim razem przyjęła chrzest św. i jego żona z dwiema siostrami i ich mężami Obrzęd chrztu św. odbył się na stacyi misyjnej w Kato. Dokonał go sam ks. biskup w otoczeniu Misyonarzy. Za matki chrzestne służyły zakonnice. Dzicy nawet uznają prawdziwą naukę katolicką, a iluż niby cywilizowanych ludzi stroni od niej.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał Karol Baron z P.)

Wszyscy czytelnicy, co *Rolę* czytacie,
To pierwsze i drugie bez wyjątku macie.
Drugie z trzeciem w żniwa rolnicy stawiają
A wszystko zaś twierdze do obrony mają.

2. ZAGADKA.

(Nadesłała Franciszka Andrusikiewicz z D.).

Hiszpan ma z tyłu, Niemiec na przodku,
Mężatka niema, panna ma w środku.

3. SZARADA.

(Nadesłał Władysław Bąbaś z H.).

Czy naprawdę jest to zwierzę
Co dwie nogi ma i pierze?

* * *

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy w nagrodę oprawną książkę z obrazkami Wład. Umińskiego p. t. ***Balonem do bieguna.*** Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 24 września — Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 36 *Roli:* 1. Szarada: **Karety,** 2. Zagadka: **Anna,** 3. Szarada: **Pierogi.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

O ty, Maćku Bzduro, daj mi jaką radę,
Bym dostał nagrodę choć za tę szaradę.
Przecieżeś nie głupi, bo jak sam powiadasz
Szkoda, że karety jeszcze nie posiadasz.
Bobyś paradował jakby magnat jaki,
A to jest rzecz pewna, że ty byłbyś taki.
Alem ja ciekawy, jakbyś ty tam siedział
I na cobyś patrzył, tobyś sam nie wiedział.
Możeby ci wpadła jaka Anna w oko?
Możebyś ją zabrał, gdyby szła piechotą,
Boś ty pomysłowy, tobyś użył drogi
Jakiej babie, żebyś pożarł z nią pierogi.
Ale ja zobaczę, czy książkę dostanę
Za twojem wstawieniem, mój kochany Panie.
Jeśli nie dostanę, los mnie nie wybierze,
To ci niech gosposia dobrze dudy spierze!

Jan Łojek z R.

2.

Maciek Bzdura bardzo lubi konie »kare«
Lecz biedak nie pozna czy młode, czy stare.
Ale gdy mu skaczą dla większej podniety,
To i Bzdura krzyczy: »Rety! rety! rety!«
Czasem znowu koniom wsypie po dwa baty
A bodaj was wzięły wilki albo katy.
Z wózka do »karety« wprzągnie Maciek konie,
A »Anna« z pewnością będzie jego żonie,
Która tak na zadku jako i na przodku
Dwa »A« będzie miała i dwa »N« w pośrodku.
Ale »piegi« Maćka bynajmniej nie szpecą,
Bo Jaga z Maryną w dyrdy za nim lecą.
A Kaśce wójtowej skrzywiły się nogi
Od tego gonienia, jak baranie rogi.
»Pierogi« nad dziwki przenosi nasz Bzdura,
Na świętego Jacka mało mu ich fura.
Koniecznie na zimę trzeba Bzdurze żony,
Rola zaś niech przyzna mnie *Promień zielony*.

Karol Baron z P.

3.

Chociaż nie jeżdżę w karecie,
Szaradę rozwiązałem przecie.
Widziałem ja konie kare
Tak młode jak stare.
Słyszałem też jak kobiety
W podziwie wrzeszczały rety!
Katów dotąd nie widziałem
Lecz dosyć o nich słyszałem.
Często mężatka lub panna
Nosi żeńskie imię Anna,
»A« na przodku »a« na zadku
I podwójne »n« jest w środku.
Tak bogaty jak ubogi
Lubi smaczne jeść pierogi.
A choć rzadziej je zajada,
Jakże chętnie o nich gada.
Człowieka znów szpecą piegi
A zwierzęta mają rogi.

Józef Krukurka z K.

4.

Konie kare, śliczne — rety!
Zaprzągnąwszy do karety,
Stangret dworski wali batem,
Jest dla koni srogim katem.
Panna Anna zobaczyła,
Panu o tem oskarżyła.
Stangret Annie za skarżenie
Mówi: tyś brzydkie stworzenie!
Bo masz piegi na swej twarzy;
Anna zaś pierogi warzy
I mówi mu: kacie srogi!
Ja mam piegi — ty masz rogi!
Jesteś jak wół bez sumienia,
Katujesz biedne stworzenia.
Ale pan mówił już wczoraj —
Pójdziesz wnet fora ze dwora,
Bo szkaradna twa natura,
Będzie tu mój Maciek Bzdura!
Co choć piegi, ma ochotę,
Do mnie, bo mam serce złote...

Jantek z Bugaja.

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Władysław Ćwieka z T., Józef Maślanka z Rz., Władysław Stefański z G., Adam Warchoł z Z., Józef Gąsior z S., Władysław Dziwisz z W. r., Antoni Kowalczyk z K., s. t. z Grybowa, M. Pietryka z B., Józef Gadzicki z O., Kazimierz Szymański z P., Tadensz Stypa z T., Józefa Hirszberg z K., Piotr Kiczek z G., Jakób Wiśniowski z G., B. Sittauer z T., Adela Bezokówna z K. m., Jan Czerwiński z T., Jan Inglot z S., Franciszka Andrusikiewicz z D. (wierszem), Józef Strug z L., St. Włodarczyk z O., Stanisław Mężyk z I., Wł. Lanoszka z S., Michał Dudek z Ż., Piotr Stach z K., Roman Jamroz z Szcz., Józef Witek z Ś, Leon Łętowski z S., Bąbaś Jan z S., Mateusz Zięba z O. B. (wierszem).

Nagrodę otrzymał **Józef Gąsior** z S.

Odpowiedzi Redakcyi.

P.P.: Piotr Lipowiak w L.: Zagadka dobra. — Jan Prządza w Ł.: Wysłaliśmy — dziękujemy. — Wiktor Izdebski w T.: Numera od Nowego Roku wysłaliśmy. Cieszy nas, że obiecuje Pan być stałym prenumeratorem. Na przyszły rok przygotowujemy wiele niespodzianek dla naszych prenumeratorów. — K. Ringler w T.: Numera z drugiego półrocza wysłaliśmy. — Józef Rabiej w L. w.: Reklamowane numera wysłaliśmy. Gdyby kiedy numer zaginął, trzeba zaraz reklamować. — Jan Łojek w R.: *Przygoda Icka* była już gdzieindziej drukowana, więc nie dla nas. Komplet z r. 1909 wyślemy nieoprawny za cenę jaką Pan podaje, ale uprzedzamy, że dawniej *Rola* była pismem polityczno-rolniczem, a więc innem, co do treści, jak obecnie. — Jan Wielopolski z J.: I my jesteśmy tego zdania, że lepiej coś ciekawego i pouczającego przeczytać, aniżeli ujadania wzajemne, dlatego też mamy bardzo wielu przyjaciół, a wrogów nie mamy wcale. Maciek za pozdrowienia dziękuje i nawzajem pozdrawia i jeszcze niejedno powie, zanim będzie miał dzieci. — Jan Konieczny w P.: Teraz można posłać za 4-ty kwartał, a później za rok 1911. Tak jak w ubiegłym roku i teraz podarek otrzymają tylko ci, którzy z góry za cały rok 1911 prenumeratę nadeślą. — D. Felczer w P.: Każdemu, kto reklamuje, zaginiony numer natychmiast wysyłamy. Nie nasza więc wina, że Panu drugi raz zginął. Wysłaliśmy po raz trzeci. Marka była zbyteczna. Ślusarz zawinił, a kowala powiesili. — Regina Urygowa w J.: Na kredyt zaprzestajemy zupełnie posyłać; prenumerata tak mała, że ją każdy zapłacić może, a kredytowanie uczy tylko niepunktualności. — Wacław Mazur, Bośnia: Wysłaliśmy kilka numerów. — Szymon Kuszek w Sz.: Zadarmo tylko zły towar pchają i to niechętnie — za dobry trzeba płacić. — Maciej Leszkiewicz w N.: Odpowiedzieliśmy kartką — prosimy o pośpiech. — Antoni Kucharczyk w P.: Dziękujemy pięknie, otrzymaliśmy obydwie przesyłki — wszystko pójdzie. Komplet zachowamy. Łączymy serdeczne pozdrowienia. — Wojciech Sendyk w P.: Nie nasza wina, że Pan późno zaprenumerował. Gdy się Pan pospieszy na przyszły rok, podarek będzie niezawodnie. Kto chce otrzymać książkę musi dopełnić ogłoszonych warunków. — Karol Baron w P.: Pierwsza w numerze, druga się nie powiodła. — Tadeusz Stypa w T.: Widocznie rozwiązanie gdzieś zaginęło w drodze. — Kazimierz Szymański w P.: Po zniżonej cenie książki do nabożeństwa dać nie możemy, ale damy ją za pięciu nowych prenumeratorów. — Andrzej Wyka Bośnia: Wysłaliśmy i prosimy o rozpowszechnianie. — Leon Łętowski w S.: Właśnie najlepiej teraz zjednywać prenumeratorów na rok przyszły. Łączymy pozdrowienia. A książka czy przyszła? — Władysław Bąbaś w H.: Za obietnice i zagadki dziękujemy. — Władysł. Ćwieka w T.: Umieścimy. — Józef Maślanka w Rz.: Umieścimy. — Władysław Stefański w G.: Zagadki umieścimy później. — Józef Krukurka w K.: Z powodu nawału pracy książkę wysłaliśmy parę dni później — Mateusz Zięba w O. B.: Nadesłana szarada nie udała się.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Bąbaś Władysław z H. (2 K.), Tracz Jan z Ł. (1 K.), Szewczyk Stanisław z S. (1 K.), Izdebski Wiktor z T. (4 K.), Gromek Tomasz z Szcz. (2 K.), Misiak Anna z M. (1.20 K.), Pasek Franciszek z D. (2 K.), Grochal W. z M. (1 K.), Lasoń Anna z K. (1 K.), Janik Józef z P. (1 K.), Szot Józef z K. (2 K.), Tomasz Chodur z O. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 13 września:

Buhaje	Kor.	180	do	400	za sztukę
Woły	"	200	"	300	"
Krowy	"	120	"	200	"
Jałówki	"	100	"	210	"
Cielęta	"	32	"	70	"
Owce i kozy	"	20	"	30	"
Świnie (bita waga)	"	160	"	172	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w dniu 13 września:

Pszenica	Kor.	9·50	do	10·10	za 50 kg.
Żyto	"	6·80	"	7·25	"
Jęczmień	"	6·90	"	7·40	"
Owies	"	7·40	"	7·50	"
Otręby pszenne	"	4·60	"	4·75	"
Otręby żytnie	"	4·60	"	4·75	"

Matka: Powinieneś się wziąć energicznie do Jasia! Nikogo nie chce słuchać!

Ojciec: Daj mu pokój, niech ma choć teraz własną wolę i tak się kiedyś ożeni!...

Jasiek do Marysi, niosącej wiadro wody:
— Maryś!... Kajże ty tę wodę niesiesz?
— Kajżeby? dla bydła.
— To dajże i mnie napić się trochę.

— Jędrek, czytajno tu ten list.
— Ja, proszę pana majstra, w dzień nie umiem czytać, bo chodziłem tylko do wieczornej szkoły!

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor:** Antoni St. Bassara.

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.